

ANNA WIŚNIEWSKA

ur. 1942; Kłodno



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, Lwów, PRL, ulica Szczerbowskiego, ulica Szczerbowskiego 9, ulica Narutowicza, ulica Gminna, ulica Strażacka, aleja Piłsudskiego, dzieciństwo, wspomnienia o rodzicach, zabawy dziecięce, edukacja, Szkoła Podstawowa nr 13 w Lublinie, Szkoła Podstawowa Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, wspomnienia o nauczycielach, nauczyciele ze szkoły podstawowej, II wojna światowa, okupacja, historia rodzinna, Żegota, mordy ukraińskie, Ukraińcy, rzeź wołyńska, Ogród Saski w Lublinie, Park Ludowy w Lublinie, rzeka Bystrzyca, pływanie na kajakach, LPŻ, Liga Przyjaciół Żołnierza, Klub Profesorów Demokratów, dzielnica Wrotków, cmentarz przy ulicy Lipowej, Dom Pocztców, szkoła pożarnicza, kawiarnia Semadeniego, tartak na ulicy Świerczewskiego, UMCS, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Wydział Lekarski UMCS, Podgórski Antoni, Podgórska Barbara, Podgórski Jan, Podgórska Janina, Parnas Józef, Seidler Grzegorz Leopold, Kunicka Wala

1. „Mam wiele nazwisk”

Zacznę od tego, że mam wiele nazwisk. Od tego trzeba zacząć. Piszę pod pseudonimem Winner, natomiast z domu nazywam się Podgórska, potem byłam Adamska, potem Bełs, a potem Wiśniewska i tak już zostało. Urodziłam się 16 marca 1942 roku we wsi Kłodno, kilkanaście kilometrów od Lwowa, gdzie mój ojciec ukrywał się w czasie wojny. Ojciec był wtedy lekarzem weterynarii, później skończył medycynę, ale to jest dalsza historia. Przyszłam na świat jako drugie dziecko, a właściwie druga dziewczyna, co nie było bardzo mile przyjęte przez tatę, który oczekiwał dziedzica. W Kłodnie mieszkaliśmy niezbyt długo, bo zaczęły się mordy. Pierwsze przyszły z Wołynia, potem dotarły na Podole, czyli tam, gdzie byliśmy i w pewnym momencie trzeba było natychmiast uciekać. Pojechaliśmy do Lwowa. Właśnie wydałam książkę i wszystko to jest opisane w tej książce. Tata opowiadał mi o tych wydarzeniach, a ja chciałam, żeby to gdzieś zostało trwale zapisane. Rodzice moi nazywali się Jan i Janina, to samo imię, tak się złożyło. Rodzina mamy pochodziła z zaboru austriackiego, rodzina ojca – z zaboru rosyjskiego. I to może

dziwne, ale różnice pomiędzy zasadami panującymi w tych zaborach dało się odczuć nawet w kolejnym pokoleniu. Kiedy mama mojej mamy studiowała na politechnice, nie nosiła żadnego gorsetu ani nic, była wyzwoloną kobietą, to matka mojego taty chodziła w tej „sznurówce” rączki złożone w ciup i tak dalej. Także były w dalszym ciągu u nas duże różnice, które odbijały się również na współżyciu rodzinny.

2. O moich rodzicach

Mama była z domu Niezabitowska, córka Czesława Niezabitowskiego, który zapisał się w historii polskiej, tym że był w czasie wojny w delegaturze rządu krajowego na Lublin i był desygnowany na przyszłego wojewodę lwowskiego. Niestety, sprawy potoczyły się inaczej. Na „białych niedźwiedziach” był w [19]44 roku, aresztowany, i wrócił dopiero w [19]56 roku do Polski, zniszczony zupełnie. Był prawnikiem z zawodu. Babcia pochodziła z Wiednia, przyjechała do stryja na wakacje i poznała swojego przyszłego męża. Babcia studiowała rolnictwo. Potem była bardzo dumna z tego, że zdobyła tytuł magister inżynier rolnictwa i studiowała na tak zwanych Dublanach pod Lwowem. Małżeństwo moich dziadków ze strony mamy niezbyt dobrze się układało i babcia przez pewien czas po prostu nie mieszkała z mężem, dziadek gospodarzył w majątku Nesterowce, natomiast babcia była dyrektorem szkoły dla młodych dziewcząt z kół gospodyń wiejskich, czyli po prostu prowadziła oświatę. Dziadek był też ludowcem i zakładał kółka rolnicze, samopomocowe i tak dalej. To że był ludowcem również spowodowało, że później był w Batalionach Chłopskich. Mój ojciec był zawodowym oficerem, lekarzem weterynarii po studiach na Uniwersytecie Lwowskim, to się nazywało Akademia Medycyny Weterynaryjnej. Pojechał na manewry do Oleska, a tam właśnie była babcia, a moja mama była wtedy po „małej maturze” i przyjechała do niej na wakacje. Wiadomo że jeżeli polskie wojsko przyjeżdżało gdzieś wtedy w [19]38 roku, kiedy mówiło się: „my, wielcy i wspaniali” to oczywiście ksiądz i dyrektor szkoły zorganizowali bal. Orkiestra wojskowa grała. Mama dowiedziała się o tym, kiedy przyjechała delegacja z prośbą o to, żeby oprowadzić po zamku w Olesku, gdzie urodził się Sobieski. Mama oprowadzała dwóch panów, jeden był blondynem, no niezbyt wysokim, troszeczkę wyższym od mojej mamy, która miała metr siedemdziesiąt jeden wzrostu, a drugi był jak jej marzenie –czarny, wysoki pan, tak jak jej ojciec. Oczywiście jak zabawa się zaczęła, „maglował” ją tylko ten blondyn i tak się „wtańczył” Nawiasem mówiąc, nie umiał tańczyć i suwał ją cały czas jak szafę, w prawo, cały czas tyłem, bo to on szedł do przodu. Mama była niepokieszona, ale wróciła do Urszulanek, gdzie mieszkała na pensji, żeby dalej się uczyć. I pomyślała sobie: „A, rzecz do zapomnienia” a tymczasem okazało się, że pan Jan Podgóski, czyli mój tata przyszły, zameldował się u Urszulanek i poprosił o spotkanie z mamą, przedstawiając się jako jej narzeczony. Mamie to bardzo imponowało, że ma narzeczonego, bardzo. I tak się zaczęło, a potem wybuchła wojna.

3. Wybuch wojny i ślub Rodziców

Po tym jak wybuchła wojna, zaczęły się listy do ojca, którego wysyłano tu i tam. W mojej książce jest bardzo ciekawy opis wojny, tej degrengolady, która wtedy była. Mój ojciec przyjechał do Oleska, odnalazł mamę i powiedział, że muszą się pobrać, bo nie wiadomo, co będzie z wojną, wprawdzie ma się skończyć w ciągu pięciu dni, ale nie wiadomo. Oczywiście wtedy się nie skończyła... Jeden ksiądz-służbista nie wyraził zgody na ślub, ponieważ tata nie miał żadnych dokumentów –szedł z wojny, gdzie zniszczył swoją legitymację, był przebrany za chłopca, ponieważ mówił doskonale po ukraińsku, więc udawał Ukraińca. Pojechali do Żółkwi, gdzie był pułk taty pierwotnie i tam ksiądz, który znał go bardzo dobrze, dał im bez żadnych dokumentów ślub. Świadeństwo ślubu napisano odręcznie, było przez wiele lat jedynym dokumentem, który mieli moi rodzice. Ślub był o godzinie siódmej rano, pusto w kościele, była tylko matka, druga matka, mój dziadek jeszcze z wojny nie wrócił. Obydwie płakały, każda z innego powodu. Tamta marzyła, że mój ojciec ożeni się z panią mającą majątek i tak dalej. Wprawdzie moi dziadkowie mieli majątek, ale przecież wszystko zabrali Ukraińcy. Mama płakała, babcia płakała, bo nie tak sobie wyobrażała ślub swojej pierworodnej córki. Po wszystkim tata, podając się za Ukraińca, skontaktował się ze swoimi kolegami Ukraińcami, z którymi razem studiował i wtedy okazało się, że potrzeba lekarza weterynarii w Kłodnie, a właściwie nie tyle w Kłodnie, co w Hermancinie, w przysiółku [wsi Kłodno Wielkie –przyp. red]. Tam była cała masa koni, które zostały przejęte z armii, były zaświerzbione i tata po ślubie zabrał tam mamę. Mama miała jeszcze krótki incydent ze studiami, studiowała biologię, ale studia były prowadzone po rosyjsku albo ukraińsku. I jak przyszło pierwsze kolokwium, mama poległa i pojechała na wieś. Ten naprawdę krótki epizod ze studiami miał miejsce na Uniwersytecie Kazimierza we Lwowie. Te tereny, jak wiadomo, raz były niemieckie, raz były rosyjskie, był duży problem adaptacji do warunków, jakie tam panowały. Mój dziadek działał w konspiracji, pracował w delegaturze, był prokuratorem. W związku z tym zaprzysiągł również mojego ojca i ojciec między innymi leczył partyzantów, dostarczał broń za produkty ze wsi. Skupował broń. Ponadto dziadek mój działał w podziemnej organizacji Żegota [konspiracyjny kryptonim Rady Pomocy Żydom –przyp. red.] i właśnie tam przekazywał Żydów do moich rodziców, ukrywani tam byli przez jakiś czas, zanim się nie wyrobiło papierów i tak dalej. Mama opowiadała o takiej jednej pani Krysi, która była jasną blondyneczką. Ojciec jej przypuszczalnie był jakimś bankierem, w każdym razie ta niewiasta była bardzo dobrze sytuowana. Nauczyła mamę szyć, mówiła, że studiowała w Paryżu krawiectwo i chciała w Polsce otworzyć własny salon. Mama pisze w swoich pamiętnikach: „Tak jak zjawiała się nagle, tak nagle odeszła” Mama tylko ubrała ją w swój kostium. Bo ona odeszła, tak jak stała. Mama próbowała dowiedzieć się gdzie i co, ale niestety, w tamtych czasach czasami lepiej było nie wiedzieć. Dziadek mój wydawał pismo „Za wolność i demokrację” to było pismo, którego ani jednego egzemplarza niestety nie mogę znaleźć. To było pismo, które

powstawało na zasadzie przedruków, a właściwie nie przedruków, tylko pisania wszystkiego, co było z nasłuchów. Dziadek był zapalonym amatorem radia i mimo że nie wolno było, u nas cały czas był nasłuch. Potem się to wszystko rozpowszechniało. Mój ojciec wspomina, że to było, zdawałoby się, coś małego, ale za to też można było pójść pod ścianę.

4. Na świat przyszłam w Hermancinie

W czasie wojny byliśmy w Hermancinie, gdzie przyszłam na świat. Oczywiście wpisano Kłodno, bo to gmina Kłodno była. Tam zaczęły się mordy ukraińskie i mimo że w tej wsi było mniej więcej pół na pół Polaków, to zorganizowano takie straże, po prostu pilnowano się nawzajem. W Hermancinie było również nadleśnictwo. I mama opowiada, zresztą ojciec też, jedną straszną rzecz. To był styczeń albo luty, nagle mama usłyszała turkot, taki po zamrożonej grudzie, wóz jakiś jechał, przez okno zobaczyła, że są, mołojcy jadą, no więc wiadomo, już zaraz rozstrzelani będą. Ojciec w tym czasie pojechał po leki do Lwowa, nie było go. Pies szczekał, nagle zamilkł. Jak się później okazało, upchano do budy snopek i w ten sposób nie szczekał. Mama wiedziała, że niedługo przyjeżdża pociąg. Pociąg zatrzymywał się w Żółtańcach, niedaleko, chciała wyjść, uprzedzić tatę, że obstawiony jest dom, wyszła na drugi ganek, to była lekarzówka tak zwana i... okazało się, że tam stoi człowiek z karabinem. Całą noc tak przesiedzieli, bardzo przerażeni. Nad ranem tamci odjechali. Nagle ktoś zaczął pukać. Okazuje się, że do nich do domu dobiegł i puka mały chłopczyk, synek gajowego. Opowiadał, że zabito ojca, zabito matkę, cały był pokrwawiony, wyskoczył przez okno. Gajówkę podpalili. Ktoś przybiegł do mamy z prośbą, żeby pomóc, bo w nadleśnictwie zabito lub zraniono bardzo służącą. Mama pobiegła tam, ale nic już nie mogła pomóc, bo dziewczyna była umierająca i w tym czasie, akurat w tym momencie wrócił mój ojciec i też stwierdził, że już koniec. Dziewczyna zawołała, rozpoznała jednego z tych bandytów i powiedziała: „Ty też z bandą?” i została zamordowana. Ojciec był we Lwowie i na stacji podszedł do niego ktoś i powiedział, tata miał pseudonim Wincenty, powiedział: „Wincenty, żona i dzieci zdrowe, ale ty nie wracaj” Więc tata przenocował we Lwowie. Później się okazało, że mój dziadek wiedział o tym napadzie i wysłał człowieka, żeby ostrzec. Jak tata przyjechał, to okazało się, że na dworcu czeka na niego Ukrainiec, przywódca tej bandy, która była w nocy i powiedział: „Masz leki dla mnie?” bo miał chorego konia. Tata mówi: „No mam leki” Ten mówi: „Żona i dzieci zdrowe, ale ty uciekaj, bo dzisiaj ich obroniłem, jutro już mogę nie obronić” I dosłownie tak jak stali, uciekli do Lwowa.

5. Uciekamy

Tata w dalszym ciągu działał w konspiracji, w pewnym momencie został rozpoznany i ktoś podszedł do taty i go ostrzegł. Powiedział: „Nie pokazuj się w domu” Ale tata mimo wszystko pojechał tramwajem i zobaczył chodzących pod domem panów. Wieczorem już ich nie było, a tata powiedział do mamy: „Uciekamy! Natychmiast”

Mama zaczęła się pakować i 1 maja 1944 wyjechali do Tarnobrzegu, bo przez Bataliony Chłopskie załatwiono tam tacie lekarzówkę. Przyjechał człowiek, żeby zabrać meble i tak dalej, wszystkie rzeczy, ale był tak pijany, że ojciec go odesłał, żeby przespał się i na drugi dzień wrócił. W nocy było bombardowanie i zbombardowało nam calusieńką chałupę. Ze wszystkim, także zostaliśmy, tak jak staliśmy. Podobno paliła się jeszcze ze dwa tygodnie. Pojechaliśmy do Tarnobrzegu mimo wszystko, dalej skierowano nas do Trześni, tata został lekarzem weterynarii. Tam dotarło do niego wojsko rosyjskie. Przyszła i mobilizacja. Mama mówiła, że trzy razy piekła kurę, bo za każdym razem tata wracał, ale w końcu złapali go i odesłali do Lublina. W Lublinie był generał [Leon] Bukojemski, zobaczył mojego ojca, którego znał z zawodów jeździeckich. Tata był wspaniały, naprawdę pięknie skakał i jeździł konno, więc generał powiedział: „Jasiu, spadasz mi z nieba! Słuchaj, są konie, które odbiliśmy Niemcom, nasze polskie konie i one są w tej chwili gdzieś w okolicach Piły. Musisz je sprowadzić do Lublina, bo w Lublinie na Wrotkowie jest odpowiednia infrastruktura” Jest piękna opowieść taty, jak jechał i w końcu te konie sprowadził. To były rasowe araby. To też taki kawałek historii, która nigdzie nie jest zapisana. Pytałam ojca, co się stało z tymi końmi, ale to było wiele konwojów, te poszły chyba do Janowa Lubelskiego, ale tata nie był tego pewny, był już wiekowy w momencie, gdy mi o tym opowiadał. W każdym razie w ten sposób tata został w Lublinie. Otwierała się szkoła felczerów, gdzie tata był wykładowcą. Bo jeszcze we Lwowie ojciec rozpoczął doktorat z weterynarii. Jak się zaczął tworzyć Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, to tata dołączył tam i został jednym z pierwszych doktoratów profesora [Józefa] Parnasa. Ale marzeniem mojego ojca było zostać lekarzem medycyny. Zresztą w rodzinie była taka tradycja. To że skończył weterynarię, to tylko dlatego że został stypendystą, bo po ucieczce z Rosji w [19]26 roku tata tutaj we Lwowie skończył szkołę średnią i następnie dostał stypendium wojskowe, a wojsko potrzebowało lekarzy weterynarii, bo nasze polskie wojsko było „konne” Po studiach weterynaryjnych tata dowiedział się, że jeżeli nadrobi anatomię człowieka i jakieś tam inne egzaminy, to na drugi rok studiów go przyjmą. I tak, mając lat czterdzieści, tata skończył medycynę, mając już doktorat. Historia ta jest jednak i troszeczkę smutna. Mianowicie tata poznał studentkę medycyny i małżeństwo moich rodziców się rozpadło. Ale to już jest inna historia.

6. „A umie pani czytać?”

Historia mojej mamy jest interesująca. Mama, mając troje dzieci, skończyła w Lublinie studia. Nawet też doktorat zrobiła, była botanikiem. Wykładała najpierw na UMCS-ie, potem na WSR-rze, potem na Akademii Rolniczej, przeszła wszystkie te przekształcenia. Była przez pewien czas w filii w Zamościu, była również prodziekanem w filii w Białej Podlaskiej. Mama została przy nazwisku Podgórska, jako Podgórska przyjechała też po latach do Sztokholmu, żeby mnie odwiedzić. Tam wydałam ją za mąż i potem nazywała się Lewandowski, bo wyszła za pana o tym

nazwisku, a tam nie ma przecież tej odmiany. Jest to zresztą bardzo romantyczna historia, ale dużo późniejsza. Natomiast po przeprowadzce do Lublina w [19]44 roku zamieszkaliśmy przy ulicy Szczerbowskiego wtedy dziewięć, mieszkania jeden, telefon czternaście pięćdziesiąt siedem. Tak jako mała dziewczynka sobie zapamiętałam. Obecnie to jest numer pięć. To było mieszkanie, które było zajęte przez Berlinga, najpierw na pierwszym piętrze mieszkał, a tutaj jego wojsko zwolniło mieszkanie, był telefon, to zdecydowało, że ugrzęźliśmy na Szczerbowskiego. To były dwa pokoje z kuchnią, z łazienką, a jak byłam małą dziewczynką w szkole podstawowej, to chodziły takie komisje sprawdzające, kto ma jakie warunki mieszkaniowe. Bardzo dziwiono się, że ja mam swoje łóżko, Basia, moja siostra, ma swoje łóżko, brat Antoś też ma swoje łóżko. Chodziły również panie, które robiły wywiady na temat wykształcenia ludzi. I taka biedna dziewczyna, studentka zresztą, która spisywała szybciotko wszystkie dane, pyta moją mamę o wykształcenie, mama mówi: „Wyższe” a ona z przyzwyczajenia i z rozpędu: „A umie pani czytać?” bo takie miała kolejne pytanie. Dopiero po pewnym momencie „zaskoczyła” i mówi: „Przepraszam panią” W tej chwili piszę taką małą wspomnieniową historię, gdzie wymieniam i sąsiadów, i wszystkie dzieci, z którymi się bawiłam w dzieciństwie i to w przyszłym roku będzie gotowe.

7. Wspomnienia z ulicy Szczerbowskiego

Wtedy na Szczerbowskiego były tylko dwa domy. Na rogu tak zwanej Nowej Drogi, potem zwanej Świerczewskiego, obecnie Piłsudskiego, był duży tartak. Pachniało wspaniale i tak niesamowicie, do dziś słyszę ten głos pił, który stamtąd dochodził. Był dom pocztowców, czteropiętrowy, a właściwie trzypiętrowy, z czwartym dobudowanym piętrem, ze strychu zrobionym. To był dom budowany na wzór szwedzkich domów. Z pralnią na dole dla wszystkich lokatorów, bardzo nowocześnie rozwiązany. No i był dom jednopiętrowy, który miał w projektach trzy piętra, ale niestety wojna wybuchła, więc położono dach. Właścicielem tego domu, znaczy tej części, bo to był bliźniak, był pan Jaworski. Popularnie przez nas nazywany Glaca. Mieszkał w tym domu, w tym mieszkaniu razem z córką, Reginą Domagalską. Mąż pani Domagalskiej był prawnikiem, adwokatem. W suterenie mieszkała gospodyni, a właściwe dozorczyni. Była to wdowa, pani Piotrowska, z dwojgiem dzieci –z Bogną i Jasiem. Mieszkali krótko, bo potem się przeprowadzili gdzieś dalej. Dom ten miał tę zaletę, że miał duży ogród, część była wydzielona i tam tata po prostu przyjmował konie. Mam jedno bardzo smutne wspomnienie. Syn państwa Domagalskich, mój rówieśnik, w wieku lat sześciu zmarł na guza mózgu. I to była dla mnie, jako dla dziecka, taka przerażająca rzecz. Nagle uzmysłowiłam sobie, że nie tylko starsi ludzie umierają. I przy okazji umierania powiem o cmentarzu u nas. Jak wspominałam, przyjechaliśmy ze wschodu. Nie mieliśmy ani jednego grobu tutaj w Lublinie. Wtedy mama powiedziała, że koniecznie musimy mieć jakiś grób. Wyszukała taki zapuszczony, to był bodajże trzeci grób po lewej stronie, przy samym

wejściu głównym. Opłaciła składkę i zaczęliśmy remontować ten grób, potem zawsze tam chodziliśmy, to był nasz grób. Jak już był odremontowany, ładny, to potem oczywiście jakoś znaleźli się właściciele. Ale wtedy mieliśmy już swoich na lubelskim cmentarzu, przy Lipowej. Tam zresztą pochowana jest moja mama. Przywiozłam ją ze Szwecji, w urnie. Smutne, ale chciała być pochowana razem z dziadkiem, w tym samym grobie. Spoczęła. Przypuszczalnie ja też będę tam pochowana. Tak to jest.

8. Losy moich dziadków

Jeśli chodzi o moich dziadków, to mój dziadek, Czesław Niezabitowski, został w [19]44 roku aresztowany i wywieziony. Najpierw dosyć długo był we Lwowie, przepięknie to opisała moja ciotka, siostra mojej mamy. Ja w książce o mamie cytuję obszernie fragmenty jej pamiętnika. Dziadek był na takim, nazywali to „pieredarczyk” po prostu na placu, gdzie czekało się na ten kolejny transport. Wszyscy, którzy mogli, między innymi jacyś lekarze, wszyscy dziadka jakoś przetrzymywali, bo może ta wojna się skończy, może nie wyślą go. Wcześniej zaaresztowali brata mojej mamy, Andrzeja Niezabitowskiego. On po wojnie wydał książkę „To był tylko etap. Wspomnienia z łagrów” Książka niesamowita, dlatego że on opisuje to bez żadnej takiej skargi, jojczenia, jak nie było źle, pokazuje rzeczywistość, ale pokazuje również rzeczy takie codzienne i nawet radosne. Warto, szkoda, że mały był nakład, ale to jest coś, co powinno się gdzieś tam znaleźć, oczywiście mam egzemplarz. Wujek był daleko za Kołymą. Pracował w kopalni węgla. Wrócił przed moim dziadkiem, w [19]55 roku, dziadek w [19]56. Babcia czekała do ostatniego momentu we Lwowie. Cały czas miała nadzieję, że po prostu może nie wyjedzie, ale okazało się, że już ogłoszono, że jest to ostatni konwój jadący do Polski. Jest niesamowicie pięknie opisane spotkanie babci i ciotki mojej z dziadkiem. Umówili się, że w żółtej pelerynie będzie się pokazywać w takim budynku niedaleko tej stacji przesyłkowej i wtedy on wychodził i na migi rozmawiali. Jak już było wiadomo, że trzeba wyjechać, to symbolicznie zdjęła ciocia żółtą pelerynę i zwinęła. Wiadomo było, że jest to pożegnanie. Bardzo pięknie to opisała. Dziadek został i był w kilkunastu obozach. Mam listy. Ich spis, porobiłam też kopie, oznaczyłam te listy –skąd, jak. Oczywiście były cenzurowane i tak dalej. Babcia przyjechała 13 czerwca 1946 roku do Polski. Przyjechały babcia, prababcia i ciocia. Rodzicie moi już tutaj byli i oczywiście babcia przyjechała do Polski, do Lublina, mimo że cała grupa jechała ze Lwowa do Wrocławia i tam wszystko miałyby zapewnione, nawet i pracę na uczelni. Ale tak się złożyło, że przyjechała do Lublina, bardzo krótko tu była, pojechała dalej, do Szczecina. To też jest piękna historia, jak ją oskarżono, jak siedziała w więzieniu jako żona obszarnika.

9. Jeszcze o moich dziadkach

Co do rodziców mojego taty, to dziadek zmarł w [19]36 roku, nie poznałam go. Był rejentem, też przepiękna historia i to jest coś, co warto gdzieś tam zapisać. Majątek

dziadków nazywał się Ferdynandówka. Był niedaleko Kijowa. Daleko stąd, przecież w środku dzisiejszej Ukrainy. Bardzo pięknie to ojciec opisał, opowiadał mi, mam nagrania. Otworzono konsulat polski i w 1926 roku udało się dostać do Polski z powrotem. Dziadek mój był prawnikiem z wykształcenia i koledzy, którzy już wcześniej tu byli, próbowali mu załatwić pracę, ale on miał studia skończone w Petersburgu, całe prawo, trudno było dostosować się, zresztą był człowiekiem już wiekowym. Między innymi odnalazłam dokumenty, duże poszukiwania robiłam, ale z pomocą mojej rodziny odnalazłam dokumenty, że między innymi na praktyce aplikanckiej był w Lublinie przez pewien czas nawet. Dostał w końcu pracę sędziego i w [19]36 zasądził karę jakiemuś antysemitom, który napuścił na Żydówkę psa i tej kobiecie całą twarz po prostu zniszczył. Były naciski, żeby on tę karę cofnął. On nie cofnął, bo uważał, że sądzi prawidłowo i wtedy został bez pracy. To było jawne przekroczenie wszelkich możliwych przepisów, jako że mianowanego sędziego nie można zwolnić, a mój Dziadek został bez niczego. Znowuż przy pomocy przyjaciół dostał pracę w Dziśnie, obecna Białoruś. Tam zakończył żywot w bardzo głupi sposób –zarażony wąglikiem. Ojciec w [19]36 roku skończył weterynarię i pojechał tam do Dżisny, tylko po to, żeby po prostu być na pogrzebie. Zabrał swoją mamę i swoją młodszą siostrzyczkę, które cały czas potem były z nami. Całą tę peregrynację wojenną... Potem babcia mieszkała w Warszawie u córki. Chcę powiedzieć, że rodzina się rozpięchła po świecie niesamowicie... Ja w Sztokholmie, mój brat, Antoni Podgórski, w Montrealu, moja siostra, Barbara, mieszka w Wałbrzychu.

10. „Nostalgiczna podróż w czasie”

Kiedyś Antek przyjechał do Lublina i wyszliśmy na spacer. Oboje chodziliśmy niegdyś do szkoły numer trzystaście. Na ulicy Narutowicza. Powiedzieliśmy: „Robimy romantyczną, nostalgiczną podróż w czasie, szukanie dawnej szkoły” Nie pomyślałam jednak o tym, że on jest ode mnie o cztery lata młodszy. Ja szukałam innej szkoły, on szukał innej szkoły. Moja szkoła przeniosła się, jak wybudowano tysiąclatkę. Ja szukałam szkoły, której już nie było. Przez pewien czas był tam dom dziecka. Jak spotkaliśmy jakiegoś człowieka na Górnej, to on nam to wszystko wytłumaczył. Mam zdjęcia z mojej pierwszej komunii, zdjęcia z czwartej klasy, bardzo zniszczone zresztą, na których siedzimy na boisku. Zamieszczę w kolejnej książce, może ktoś siebie odnajdzie, może ktoś babcię odnajdzie. Raczej babcię, sądząc po moim wieku. A potem sobie poszliśmy dalej ulicą Narutowicza i w tej następnej książce chcę opisać, co było w której kamienicy. Vis-à-vis mojej szkoły był dom, w której kiedyś przed wojną pan Władysław Kunicki miał swoją szkołę. To była siedmioklasowa szkoła handlowa dla dziewcząt. Skąd o tym wiem? Dlatego że tam, w pewnym momencie do mnie do klasy doszła Wala Kunicka, która była córką profesora Goldfingera-Kunickiego, mikrobiologa o międzynarodowej sławie, a wnuczką wspomnianego Władysława. Późno do nas dołączyła, ponieważ oni z armią Andersa przeszli cały szlak do Izraela i stamtąd do Stanów i warto by panią, obecnie

Walę Misiewicz, poprosić, może by opowiedziała coś na ten temat, bo to jest ciekawe. Ona się urodziła w Rosji, a dziś jest archeologiem, już emerytowanym w tej chwili. Dzięki niej dostałam się na etnografię, bo powiedziała mi, że się otwiera etnografia w Lublinie. I jest to jedyna dziewczyna ze szkoły podstawowej, z którą utrzymuję kontakt.

11. Szkoła przy Strażackiej i pożar „Bengalu”

Ulica Szczerbowskiego graniczy ze Strażacką. Na Strażackiej była w tym czasie już szkoła pożarnicza i naczelnikiem szkoły był pan Styłski. Nie wiem dlaczego, ale zaprzyjaźniłam się z żoną tego pana, ja –taki szkrab. Bardzo często chodziłam do tej szkoły, to było pasjonujące oglądać ćwiczenia tych strażaków. Poza tym były syreny, ci młodzi ludzie, którzy tam kształcili się, również pomagali przy gaszeniu dużych pożarów i tu powiem o jednym takim pożarze. Pożar ten miał miejsce w „Bengalu” „Bengal” to była fabryka pasty do podłogi, głównie. Nie wiem dokładnie, gdzie ona się znajdowała, ale gdzieś w okolicach Lubartowskiej. To się paliło niesamowicie. Najpierw były syreny, potem ogromna łuna, a my z ojcem wyskakiwaliśmy na dach patrzeć właśnie na tę łunę i można było zobaczyć płomienie, bo terpentyna się paliła, mimo że Szczerbowskiego od Lubartowskiej jest już dosyć daleko, ale widać było słupy ognia. To było jedno z takich fascynujących przeżyć, które skojarzyło mi się z naleśnikami, dlatego że tego dnia mama smażyła naleśniki, a ja tylko wpadałam, chwyciłam naleśnika i leciałam na górę, na strych. Do dziś, jak ktoś smaży naleśniki, od razu myślę o tym „Bengalu” Przeglądając starą prasę lubelską, przeczytałam taką informację, że podejrzewano, że ten pożar to był sabotaż, bo to właśnie świeżo upaństwowiono.

12. Słoma na sienniki

Od Narutowicza, jak się idzie za krzyżem, zaraz przy ulicy Gminnej, był mały targ, oczywiście nie było takiej zabudowy jak teraz, po prostu był cały taki placzyk na końcu ulicy Gminnej, teraz to jest wszystko zabudowane. Ja jestem etnografem z zawodu, a tam po raz pierwszy spotkałam się ze sztuką ludową. Różnego rodzaju garnki, kosze wyplatane, zabawki ludowe, to tam widziałam. I tu opowiem śmieszna historię, to jest raczej anegdotka. Ponieważ myśmy się spalili, w związku z tym mama miała wszystko nowe. Czyli nowa pelisa i tak dalej. Byliśmy jednymi z niewielu, którzy mieli mieszkanie. Jak przyjeżdżali ludzie ze wschodu, to wiadomo było, że zatrzymywano się u nas i wtedy szło się na targ, kupowało się snopek, robiło się siennik i spało się pod stołem, nieraz było tak, że całe mieszkanie było tymi uchodźcami zavalone. W pewnym momencie właśnie miały przyjechać babcia, prababcia i ciocia, więc mama poszła na ten targ i taką wspaniałą żytnią słomę kupiła, pan powiedział, że przywiezie pod dom. Mama ubrana właśnie elegancko już w tę nową pelisę, powiedziała do służącej: „Krysiu, znieś to wszystko” a na to dziewczyna powiedziała: „Ja?! O nie, z pani to nikt nie będzie się naśmiewał, jak pani weźmie snopek. A o

mnie od razu powiedzą, że ja ze wsi” To taka mała anegdotka.

13. Park Ludowy z dawnych lat

Mieszkaliśmy niedaleko Bystrzycy, a zaraz koło mostu było LPŻ, czyli Liga Przyjaciół Żołnierza i oni mieli swoje kajaki. I to było cudowne, wypożyczyć ten kajak i płynąć sobie Bystrzycą do drewnianego mostu, bo tam w stronę cukrowni był drewniany most. Nawiasem mówiąc, płynęliśmy kiedyś z siostrą i wyłowiliśmy taką papierową torbę, w której coś pischowało i tam były kociaczki. Dwa się wychowały u nas w domu. Pani Jaworska opowiadała mi, że dawniej tereny, które później były Parkiem Ludowym i jeszcze dalej, były zalane wodą i ona pamiętała, jak były takie łódki i w niedziele panowie zapraszali na przejażdżkę łódką. Tego nigdzie nie sprawdziłam, ale to były podmokłe grunty. Pamiętam budowę Parku Ludowego. Wszyscy sadziliśmy drzewa, wszyscy, to był ogromny zryw, dlatego tak mi żal, że dziś jest tam całkiem inaczej, poszłam sobie tam i zobaczyłam. Może kiedyś będzie pięknie z powrotem, ale żal ludzkiego zaangażowania, bo to i młodzież szkolna, i młodzież akademicka, i pracownicy normalnie z biur i tak dalej w czynie społecznym budowali ten park. Pamiętam również kawiarnię, która tam była, taki duży samolot, bodajże amerykański, ale nie jestem pewna, i tam była kawiarnia. Nie ma już tego. Nie wiem, co się stało z tym samolotem. W Parku Ludowym była też szkółka na przykład taka, gdzie można było uczyć się przepisów ruchu drogowego. Były oczywiście piaskownice, muszli koncertowej nie było jako takiej, ale był plac, gdzie występowały różne zespoły taneczne. Ja sama od dziecka tańczyłam w różnych zespołach, kończąc na UMCS-ie, tam też występowałam.

14. Wspomnienia ze szkół

Ja zwiedzałam wiele szkół, z różnych względów. Po prostu najpierw moją siostrę mama oddała do Urszulanek, a Urszulanki nie chciały mnie przyjąć, bo nie miałam jeszcze ukończonych siedmiu lat, a one się strasznie bały. Także ja poszłam do trzynastki, a siostra była w Urszulankach. Ale Urszulankom zabrano prawo do prowadzenia zajęć edukacyjnych i wtedy mama zabrała obydwie córki i umieściła w Unii. No i byłyśmy w Unii, z tym że Basia była na cenzurowanym, jako była Urszulanka, a dziewczyny zgłupiały, no może nie całkiem zgłupiały, w każdym razie na melodię hymnu radzieckiego śpiewały: „Niezlomny jest związek zbieraczy podwiązek” ktoś doniósł i się zrobiła z tego straszna afera i dyrektor szkoły powiedział, że on pozwoli im skończyć szkołę, ale nie chce ich widzieć u siebie w liceum. W związku z tym mama znowuż nas zabrała i znalazłyśmy się w jedyńce. Także ja zwiedzałam kilka szkół. Na ulicy Lipowej był Zespół Szkół, to była ósemka podstawowa, dziewiątka podstawowa i jedyńka podstawowa i szkoła TPD. Tam pan matematyk był znajomym rodziny po prostu i dlatego skierowano nas tam. Tam się nikt nie pytał, czy to nie jest jakiś sabotaż antyradziecki, co było idiotyczne, ale tak było, takie były czasy. Moją wychowawczynią w pierwszej klasie, aż do czwartej, była

pani Michno, niestety nie pamiętam jej imienia. Potem w czwartej klasie była pani Janik. Tę Unię jakoś sobie wyrzuciłam z pamięci, natomiast w jedyńce wychowawcą był tak zwany Misio, rusycysta. Jego żona była nauczycielką gimnastyki, popularnie zwaną Szprotą, a nazywała się Kukła.

15. „Powinnaś być pisarką”

Nie miałam całych sześciu lat, jak zaczęłam szkołę i w pewnym momencie gdzieś to moje dzieciństwo się odbiło, bo moje koleżanki już były starsze, a ja byłam w dalszym ciągu bardzo dziecinna. Zaczęłam wagarować. Nie lubiłam matematyki. Bardzo nie lubiłam. A jak się wagaruje, ma się luki, zaległości, dodatkowo byłam w momencie tak zwanego buntu, wszystko było na nie. Ja dobrze rysuję, a nawet z rysunków miałam dwóję. Ze wszystkiego. I wtedy moja mama zabrała mnie ze szkoły, w połowie roku i wywiozła do babci i tam się uczyłam gotować. Cześć i chwała im za to. Potem wróciłam w następnym roku do jedyńki i moją wychowawczynią była pani profesor Szreniawska, polonistka. Muszę powiedzieć, że to kim jestem, czym jestem, wszystko to zawdzięczam pani Szreniawskiej. Była to pani, świeć Panie Boże nad jej duszą, niesamowita. Potrafiła przełamać to moje takie jakieś negatywne podejście. „A pokaż ojcu! Pokaż, że skończysz studia! Pokaż wszystkim!” to jej słowa. W tych czasach jej syn był na prawie. Ona dzięki synowi, przypuszczalnie, prowadziła nas na sprawy sądowe. Część klasy dzieliła na oskarżycieli, część na obrońców. Musiałyśmy pisać. Tak to było, szalenie mądre wychowanie. Poza tym przed każdym wyjściem do teatru, a chodziliśmy dosyć dużo, oczywiście na jaskółkę wysoką, trzeba było zapoznać się ze sztuką, a potem napisać jej recenzję. Wtedy ona mi powiedziała: „Ty masz bardzo lekkie pióro. Pisz. Ty powinnaś być albo dziennikarzem, albo pisarką” Może to, co robię teraz, to jest jakieś jej dziedzictwo. Nie wiem. W każdym razie w moim życiu była to bardzo znacząca postać. W pewnym momencie, to jest przykra historia, mój tatuś przyszedł do szkoły i powiedział, że ja niczego nie umiem i właściwie trzeba mnie do zawodówki dać. Nie wiem, po co to zrobił, ale tak zrobił. Wtedy pani Szreniawska zaprosiła mnie do siebie do domu i tam zrobiła mi pranie mózgu. I za to jej jestem ogromnie wdzięczna.

16. Aktywna od dziecka

Po pierwsze trzeba zacząć od tego, że ja byłam chłopczycą, ja byłam zaprogramowana na syna. Nie udało się, więc tata mnie do urodzenia się brata traktował jak zastępczego syna. Uczył mnie fechtunku, uczył oczywiście jazdy na rowerze i tak dalej, nauczył mnie też jeździć konno, na Wrotkowie. Byłam dzieckiem, może to za dużo powiedziane, że z ADHD, ale w każdym razie bardzo żywym. I w szkole był zespół taneczny. Ja oczywiście natychmiast zgłosiłam się do tego. Pan, który prowadził ten zespół, nazywał się Dziubek. Tańczyłam w zespole, moja siostra tylko śpiewała, bardzo mi zazdrościła, że jej nie wzięli. Tańczyłam przez całą szkołę średnią. Potem na studiach tańczyłam w zespole UMCS-u. Niedługo, bo potem się

okazało, po trzecim roku, że już studia mnie zanadto absorbowały. Myśmy mieli sporo wyjazdów w teren, nie można było pogodzić wszystkiego razem. Ale bardzo lubiałam taniec. Także z innych rzeczy, to uwielbiałam, ale naprawdę to uwielbiałam żużel. A w czasach kiedy ja byłam smarkata, to mistrzem polski był Włodzimierz Szwendrowski. Do Alej Zygmuntowskich trzy kroki. Oczywiście tam wchodziłam przez płot. Bardzo zazdrościłam chłopcom, że mają spodnie. Bo ja raz zawisłam na spódnicy. Wróciłam, niosąc strzępy spódnicy do domu. Zapach Castrolu podczas takich zawodów to było coś fantastycznego. Zawody żużlowe odbywały się tu często. Coś w tym było, w końcu myśmy mieli tytuł Mistrza Polski, Motor miał. Zresztą w tej chwili też jest bardzo dobry. Jeśli chodzi o żużel, zainteresowałam się nim sama z siebie, tu już nie chodziło o jakieś naciski taty. Ja w ogóle byłam zainteresowana motoryzacją. Nie wiem, to jest duży przeskok czasowy. Ja byłam jedną z pierwszych polskich gokarcistek. Zdjęcia są, będą w książce też. Przy Automobilklubie mieliśmy sekcję akademicką. Jeden z naszych chłopców, mój późniejszy pierwszy mąż, Tadeusz Adamski, między innymi budował gokarty. Nam dano zezwolenie na jazdy, na ulicy Głębokiej, o piątej rano. Na gokartach to się jeździ na określonej trasie. Ja potem odpadłam, a chłopcy nasi brali udział w wielu zawodach. Niedawno była na LSM-ie wystawa właśnie o pierwszych gokartach. W „Kurierze Lubelskim” też pokazano zdjęcia. I między innymi Anię Adamską, czyli mnie, pierwszą gokarcistkę w kraju. Zrobiono mi takie zdjęcie.

17. Wspomnienia ze Starego Miasta i nie tylko

Stare Miasto wspominam bardzo źle, jako że w Trybunale był dentysta. I dzieci ze szkoły chodziły do pani dentystki, która miała taką straszną „bormaszynę” oczywiście okropność. Niesympatyczne to było. Miałam też wujka, który był architektem. Jak wiadomo, Starówka została odnowiona tylko z zewnątrz, tak typowo. Wujek z Warszawy przyjechał i oprowadzał mnie, pokazywał drugą stronę Starego Miasta. Różne zapyziałe podwórka, ciekawe portale i właśnie mówił, że fatalna rzecz się stała, że to jest taka polska, a właściwie komunistyczna specjalność, żeby tylko z frontu zrobić. Stare Miasto i kościół dominikanów, dla mnie jakoś to się tak utrwaliło. Kościół dominikanów był kościołem, gdzie babcia prowadziła i mnie jako dziecku wydawał się on jakiś bardzo wielki, tajemniczy. Babcia pokazała mi tam obraz, o którym w tej chwili było nawet dosyć dużo mowy przy okazji odnawiania. Próbowałam sobie to wyobrazić, jak to wyglądało, to miasto palące się. Ale jeżeli jesteśmy przy kościołach, przypomniała mi się dużo późniejsza historia. W 2013 roku szłam sobie Świętoduską i nagle zobaczyłam ojca [Jana Chryzostoma] Żurka. Ojciec Żurek był karmelitą bosym, on mnie przygotowywał do pierwszej komunii. Na zdjęciu komunijnym stoi w środku. Zobaczyłam go i szalenie się ucieszyłam, ponieważ był to ojciec, który brał całą czeredę dzieciaków do Starego Lasu, uczył nas rozpalać bez zapalek ogień, uczył w jaki sposób zachować temperaturę w wodzie, gdzie jest strona północna i tak dalej. Cała taka w skowronkach podeszłam do tego człowieka,

starszeczka takiego i mówię: „Oczywiście ojciec na pewno mnie nie pamięta, ale ja nazywałam się Ania Podgórska i mile wspominam tamte chwile” A ten popatrzył na mnie taki troszeczkę zdziwiony tym i mówi: „Pani chyba mnie myli z ojcem Żurkiem, a ojciec Żurek od [19]68 [jeśli chodzi o Jana Chryzostoma, to zmarł w 1983 roku –pryp. red.] roku już nie żyje” Więc byłam bardzo skonfundowana i wtedy on powiedział: „Ale to nie jest pani pierwszą osobą. Po prostu habit i wiek sprawiają, że stajemy się podobni” I przy okazji zaprowadził mnie do kościoła, pokazał, jak odnowiono. To też jest takie ładne wspomnienie.

18. „Lublina się nie zapomina”

Na Starym Mieście jest jeszcze jedno miejsce szczególne dla mnie, ponieważ pracowałam jako dyrektor biura zarządu głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. I między innymi ja dopilnowałam tego, że na Stare Miasto przeniósł się ten zarząd. Tylko że potem już przestałam pracować, ale miejsce jest. Stowarzyszenie istnieje, aczkolwiek bardzo podupadło, bo tam były plany ogromne, z których chyba niewiele udało się zrealizować. W szkole, jeszcze podstawowej, nauczyciele prowadzali nas na Stare Miasto. Uczono piosenek. Ja nie mam za bardzo głosu, ale to pamiętam: „Kiedy z placu Łokietka wejdę w Bramę Krakowską, zaraz inny otacza mnie świat. Milknie tętno Lublina, świat się inny zaczyna. Lublin stary sprzed trzystu lat. Splot uliczek, kamieniczek, różnych kształtów, stylów, barw. I zaułki tajemnicze, cały legendarny świat. Słońce się na gzymsach łamie i gazowych latarń blask. Co godzinę bije zegar na bramie, odmierzając wiekom czas. Każdy głaz przypomina, że tu Biernat z Lublina, Kochanowski, Klonowicz i Pol. Że Kraszewski tu mieszkał, Marysieńka Sobieska, że pamiętką tu każdy dom” refren i tak dalej. Nie wiem, jak się ten utwór nazywa, szukałam go w internecie, ale nie znajduję. Tak samo jest taka druga rzecz, którą chyba Kazimierz Łojan napisał, ale nie jestem pewna. To jest: „Lublina się nie zapomina, chociaż byś przeżył cały świat. W tym mieście chłopiec i dziewczyna i zakochanym sprzyja wiatr” dalej nie pamiętam. Ale ta piosenka chyba była napisana z okazji takiego programu współpracy między miastami. Pracowałam w Miejskim Domu Kultury i mieliśmy zaprzyjaźnione miasto Białystok i robiliśmy program pod tytułem „Wiedzą sąsiedzi, na czym kto siedzi” To była taka wymiana, myśmy jeździli do Białegostoku, Białystok przyjeżdżał tutaj do nas. Były pisane piosenki. Podejrzewam, że ta piosenka „Lublina się nie zapomina” była napisana do tego programu, ale dokładnie nie pamiętam. Bardzo się zmartwiłam, jak dowiedziałam się, że Włodek Wójcikowski nie żyje, że nie żyje Kazik Łojan, że Kazik Grześkowiak nie żyje też, a oni pisali teksty do takich piosenek.

19. Ogród Saski i Klub Profesorów Demokratów

Co niedziela szło się z babcią do Ogródu Saskiego. I najważniejszą rzeczą była tam waga. Niedaleko tego skwerku, gdzie jest w tej chwili zegar słoneczny, była waga, siadało się na fotelu i może nie co tydzień, ale co dwa tygodnie babcia ważyła. To

była taka atrakcja. Szkoda, że tego nie ma. Pamiętam też wiewiórki, które przychodziły i wołało się: „Basiu, Basiu, Basiu!” Specjalnie się dla nich orzechy nosiło. Zanim powstał park, to tam się chodziło na spacer. A zresztą ja wspominałam o kościele dominikanów, a naszym kościołem był kościół powiżytkowski. Tam się chodziło na msze codzienne, znaczy co niedziela. Do tego stopnia, że jak zamawiałam mszę za mamę, to nie w parafii, tylko właśnie tam. Zaraz po kościele tata prowadził nas do takiej małej cukierni, która była obok i tam pierwszy raz w życiu jadłam grejpfruta. Strasznie był niedobry, okropny, gorzki i wstrętny. Tata mój był gospodarzem Klubu Profesorów Demokratów. W latach [19]47 chyba do [19]49 profesor [Grzegorz] Seidler zebrał sporo profesorów. Najpierw spotykali się u nas w domu, bo ten cały uniwersytet dopiero się tworzył. Między innymi tata tworzył weterynarię. No i potem powstała myśl, to profesor Parnas, u którego tata potem doktorat robił, żeby stworzyć coś na wzór angielskich klubów. Najpierw to było w dawnej kawiarni Semadeniego, potem przeniesiono do kawiarni przez pewien czas zwanej Ratuszową, u Rutkowskiego, na pierwszym piętrze. Tam jedyną rzeczą, którą znalazłam w internecie, to jest też interesujące, było sprawozdanie Związku Szachistów. I napisane było w ten sposób, że: „Klub Profesorów Demokratów udostępnił im kilka stolików” To jest jedyna wzmianka, którą znalazłam. Oczywiście to wyglądało zupełnie inaczej. Klub tworzyli profesorowie UMCS-u, oczywiście. O polityce się tam nie rozmawiało. Nic, tylko o uczelni. Co zrobić, jak. Zapraszało się profesorów i ja z moją siostrzyczką po kościele szłyśmy z tatą, bo tata pełnił funkcję gospodarza tego klubu. Siedzano nas w wielkim, jednym, klubowym fotelu i czekałyśmy, że tata nam da lody, bo z dołu można było przynieść lody. Muszę powiedzieć, że niedawno byłam tam, jako że mojego byłego męża rocznik, on studiował prawo, raz w miesiącu spotyka się tam. To zupełnie inaczej wygląda. Absolutnie inaczej. A to było niesamowite, ponieważ cała ta kawiarnia była większa. Część nie wiem, czy oddano komuś, czy zagospodarowano inaczej. Na dole była cała jedna szklana ściana i na dole grał fortepian, właściwie taka mała pianola raczej. Tam pan grał i eleganckie towarzystwo przychodziło na kawę z bitą śmietanką. A na górze byli profesorowie, adiunkci i strasznie dużo palili papierosów. Smród był niesamowity. To moje dziecięce wspomnienie. Ten klub działał kilka lat, chyba trzy, potem rozwiązał się, jako że były naciski, że to nie jest praworzędne. W takich to czasach żyliśmy.

Data i miejsce nagrania	2018-06-26, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Transkrypcja	Elżbieta Zabłocka
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"